

KAMENA

miesięcznik literacki

ROK II

№ 8-9

MIESIĘCZNIK LITERACKI

KWIECIEŃ — MAJ 1935 R.

S P I S R Z E C Z Y:

TADEUSZ BOCHEŃSKI	Tatry w polskiej poezji powojennej	str. 141
WŁODZIM. PIETRZAK	Powrót nocny	„ 148
STANISŁAW CZERNIK	Wspomnienie Tatr.	„ 148
JAN KOTT	Wiatr halny	„ 149
JAN SZCZEPAŃSKI	Pożegnanie	„ 149
LEOPOLD LEWIN	W górach	„ 150
KAZ. AND. JAWORSKI	Azyl	„ 150
HEL. i JERZ. M. RYTARD	Karczma	„ 151
JAN ALF. SZCZEPAŃSKI	Przepaść	„ 155
MARJA SZCZEPAŃSKA	Fragment powieści	„ 159
JAN ALF. SZCZEPAŃSKI	Fragment z dni górskich	„ 161
STANISŁAW MECZIAR	Tatry w literaturze słowackiej	„ 162
SVETOZ. H. VAJANSKY	Do gór	„ 164
PETER HOSTINSKY	Duma w Tatrach	„ 164
LUDO ONDREJOW	Sen	„ 165
STANISLAV MECZIAR	Nadhera Tatier	„ 165
J. M. HEREDIA	Góry	„ 166
ROSA BAILLY	Z cyklu: „Les montagnes Pyrenées“	166
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Z „Dziennika Tatrzańskiego“	„ 167
KAZ. AND. JAWORSKI	Z noweli „Exodus“	„ 168
	Poeci i taternicy o górach	„ 171
	Noty	„ 172

Wkładki linorytowe ZENONA WAŚNIEWSKIEGO: Z Tatr

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawnictwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.

Reformacka 15 B.

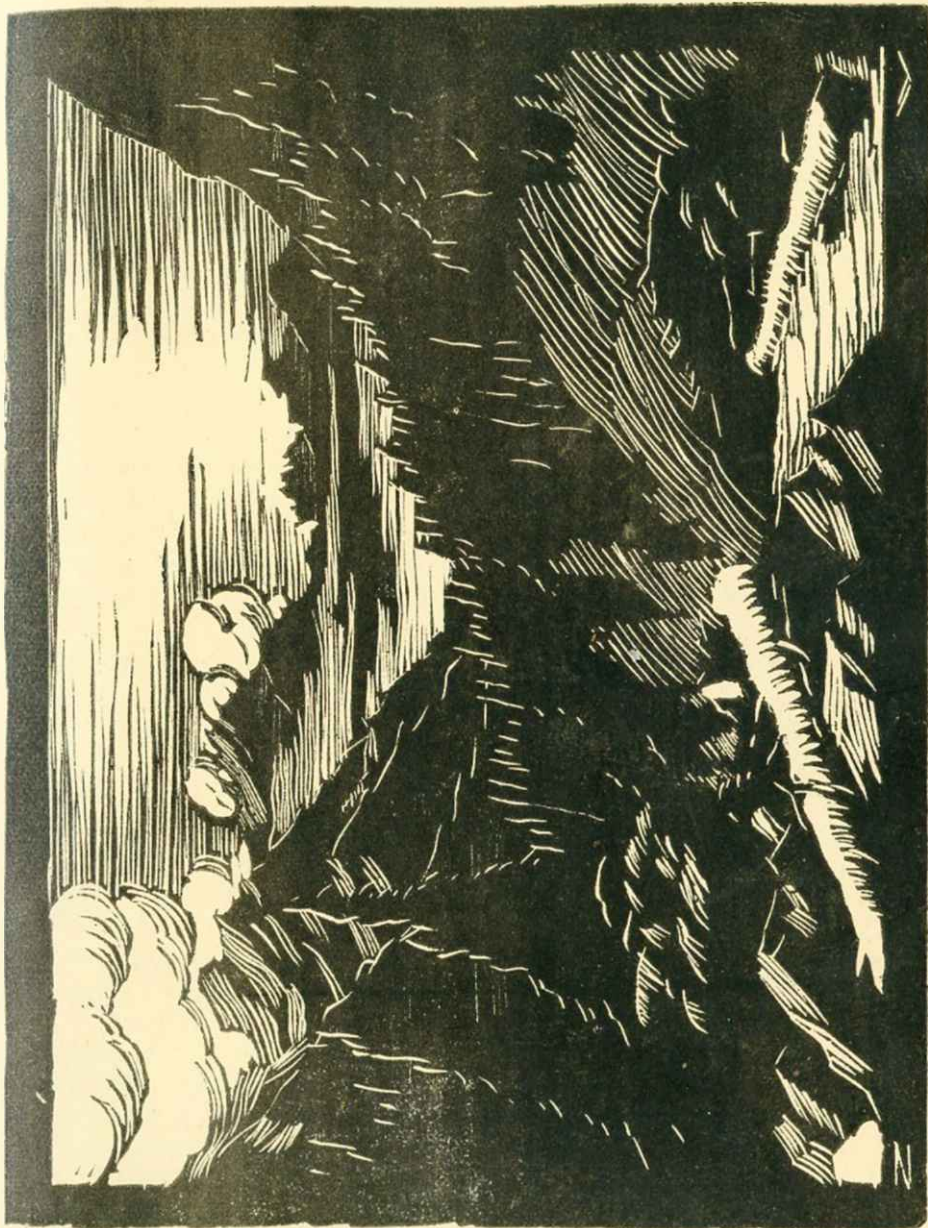
Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów)

2 zł. 25 gr.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 80 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



k a m e n a

miesięcznik literacki

rok II kwiecień — maj 1935 r. nr. 8—9 (18—19)

TATRY W POLSKIEJ POEZJI POWOJENNEJ

(Związły szkic literacki)

Bacność poety na pewien dział tematów i skłonność praktyczna ku tematom tego działu wynikają nie tylko z osobistych dyspozycji autora. Wiele czynników postronnych wpływa na ustalone nawet dyspozycje: przykład potężnej jednostki twórczej (współczesnej albo czymś zabiegiem, czyjąś „rewelacją“ na nowe życie obudzonej), sugestia teoretyków, urok nowości i t. d. — oto mnóstwo widzianych wyraźnie lub mętnie wy czuwanych drogowskazów pośród manowiska twórczości poetyckiej.

Że w dobie młodopolskiej tyle pisano o Tatrach, to owoc nie tylko indywidualnych konieczności (których przewagę nad wpływami i szeroko pojętą modą widzę n. p. w Kazimierzu Tetmajerze); to także owoc pozaindywidualnych, choć z indywidualnością zaraz w spółkę wstępujących powodów zewnętrznych, to działanie nowości, to skutek sugestji Tetmajera, to plód właściwej owym czasom tęsknoty do romantycznego egzotyizmu, do pogańskiej, tytanicznej ekspansji życia, do bogactwa obrazów i nastrojów.

Nowością powojenną stało się miasto, na które przyzwyczajono się patrzeć potakująco, i miasteczko, które zaciekać jęło poetę bardziej, niż niedawne pątownia wiejskie, aczkolwiek i z miasteczka częściej wyławiano roztkliwienia i smutnodur, niż grozę życia i niecierpliwosć otwartych jak rany zagadnień życiowych. Nowością powojenną stała się nakońiec wieś, ale odległa od jednostronnego poglądu Konopnickiej, odmienna od kolorów Włodzimierza Tetmajera, różna nawet od eposu Reymontowego: wieś żywa, w sobie samej ekonomicznie i społecznie prawdziwa, chłopska i demokratyczna, z państwem polskim i Europą organicznie związana. Pod-

chodzą ku niej poeci z miast, a ci, co się z chłopów porodili, wierzyć zaczynają i krzyżeć, że dokładnie, dorównawczo i ostatecznie wieś i chłopą zrozumieli i wierszami wyrazili.

O Tatrach pisze się niewiele. Nie są dziś w poezji modne. Uchodzą nawet w oczach i w myśleniu niektórych wierszopisów z całą pierwotną przyrodą za coś lichszego poetycko od miast i od afer klasowości czy ludzkości. Wytłumaczyć to można: reakcja, antyteza. Do syntezy zawsze daleko i trudno. Blisko zaś i łatwo tylko do syntez podwórkowych, niepowszechnych, zwanych szumnie syntezami pragmatycznymi. Ale nie o tem chcemy mówić.

Tłum wycieczkowców przekształcił pewne części Tatr w publiczną salę gimnastyczną, inne we wielkomięski park. Lecz jest jeszcze w Tatrach boża dzicz! Karmi artystów i rasowych jak niecyrskie niedźwiedzie taterników. Taterników niepowszedniej miary.

Ale szlachetny sport, któremu nietylko o wyczyny ciała i o płaską idzie uciechę jednosiecznej ambicji, wierszy stworzył niewiele. Dobrych jeszcze mniej. Wśród materiału poetyckiego, którym w tej chwili rozporządzam, dobrej poezji taternickiego sportu nie dostrzegam wcale.

Czcie łażikowanie po Tatrach milczy. Rzecz jasna: jeśli łażikować, to raczej po ulicach. Corso jest swoistą pełnią. Zdobyło się nawet na rodzimą poezję. Tatry, niewspółmiernie wysokie, nie zleją się z łażikami w pełnię. Dlatego milczenie.

Lecz Tatry są większe, piękniejsze, bogatsze od wszelkiej, najbardziej nawet wybujałej jednostronności. I zdaje mi się, że dzielny sportowiec, krótryby dobrym był poetą, wypisałby sport i siebie—sportowca w kilku utworach, a potem wyjrzał chciwie poza sport i Tatry odsportował. A może byłby to sport idealny, króremuby i Tatry i ciało spinacza stanowiły tylko skoczną w nieskończoność człowieczeństwa?

Sportowe zwycięstwo w łatwej albo trudnej walce z górą tai się często w podwalinach utworu. Ani słowa nie słyszemy o wysiłku, o konkretnych jakościach taternickiego walczenia i zwyciężania. Trudno orzec, czy przyczyną tego pomijania drogi jest mierzenie w cel, w przeżycie szczytowe, czy tylko niedostateczna wrażliwość zmysłowa na surowiec, którego dostarcza wędrownka lub spinaczka. Wzrok czeka panoramy szczytowej, a poeta — wzrokowiec ulega właśnie oczom. Jakże trudno znaleźć poemat, któryby tkankę treściową tworzył z doznań mięśni, z niechybnych zarzutów ręki lub czekana, z chwytności nóg, z chropawych, twardych, zimnych, ciepłych w słońcu, a gdy mszysto, grząskich dotykań, z owego wreszcie bukietu,

w który się w płucach nieporównanie drażonych rozgałęzia zimny, ostry wdech na szczytach, graniach i przełęczach!

Poezję oddechu, nie w Tatrach zresztą, ale wnętrzem ciała, tchawicą i płucami, świadomie przeżywanego, spotykam w „Laurze olimpijskim“ Wierzyńskiego („Oddech“). Bardziej retoryczne, ale wyraźnie tatrzańskie, wielozmysłowe jest w „Rozmowie z puszczą“ „Wodobranie“. Wprawdzie tę wielozmysłowość Wierzyński tylko roi, wprawdzie bezpośrednio sikławę zapewne tylko widzi i słyszy, lecz nas nie obchodzi geneza utworu: szukamy pełni w treści poematu. W poemacie zaś przewalają się jakości różnozmysłowe wydatnie, namacalnie, bujnie. Mocy i nadmiaru wód, któreby niemal skałę zniosły, któreby rozkosznie kąpieli „praczasu“ i „chaosu“ oblały, odymiły nienasyconą żądzę potwornego, fizycznego obcowania z żywiołem, domaga się w „Gorzkim urodzaju“ wiersz o „Wodach tatrzańskich“. A gdy we „Wiośnie i winie“ Tatr zazналиśmy ledwie z imienia, stają się one w „Rozmowie z puszczą“ bytem nie tylko realnym, lecz nawet metafizycznym (tryptyk „W Tatrach“): wobec „ziemi metafizycznej“ wstrząsnął się poeta uczuciami kosmicznymi, wahany wahadłem duszy szeroko i groźnie od „zadum Lucyfera“ aż po ów, który „w gardle ściska jak rozkosz, mróz nicości“.

Młodością i zmysłowością bliski bywa Wierzyńskiemu Rytard. Tatry zwędrował i poznał je sportowem ciałem. Ale, o dziwo, w „Nożach wiosny“ cielesniej mu się i zmysłowiej składa nietatrzański „Wieczór“, niż n. p. „Lato“, gdzie „szare góry bawią się“ z poetą, gdzie „mroźnym wodom cały się oddaje“ i stawom, które „treść mają podziemną“. Raczej pojęciowo, niż zmysłowo. Inne jest „Zwycięstwo“:

„Oddechem nieba
jestem karmiony!

W gór mroźnych piętrach
krzyk lasów
mnie złowił!

Gdy czas mój przyjdzie,
jak wiatr skłębiony
w znak się zamienię,
w dźwięk się rozpląnę,
który świat złobi!”

Przedewszystkiem więc świadomość, że góry są źródłem mocy, że w nich można dojrzeć w dojrzałość, której wyraz czy symbol-znak uderzy w świat, jak młot, jak dłóto, nową war-

tość żłobiące. Z takich wyczuć i uświadomień rodzi się apostołstwo:

„ludzi, którzy nie widzieli
ceglastych słońce wśród gór“,

ludzi, którzy nie wiedzą, że

„niebo jest ciężkie od gwiazd,
gdy się na łące położy głowę“,

chciałby poeta nawrócić na „świętojaństwo“, na romantyczną (i etyczną) religję gór.

Sabat życia widzi w głębiach „Lasu Ciemnosmreczyńskiego“ Pawlikowska:

„Z wyżyn wysokich i świętych
stoczyło się grzeszne życie i wdół strumieniami ściekło.
Tam w dole się rozlało, wezbrało w kłęby i męty
i wyrósł Las Ciemnosmreczyński. Zielone piekło“.

Ale wielooka poezja Pawlikowskiej dostrzega także turystów. Innobyt i samobyt ośnieżonych Tatr jakże po beethovenowsku brzmi w poważnych, wolnych od sztucznej poetyczności trzynastozgłoskowcach „Gór“ (zbiorek „Cisza leśna“):

„Choć nieżywe napozór, są tylko w letargu.
Czasem wstrząsną się, z piersi zrzucą stopy piargów
i przeciągną się we śnie. Wówczas jak garść liści
spadają z nich najlepsi, najpierwsi turyści.
Towarzysze ich potem zaszywają w płótno
i niosą ku nizinom ścieżką bladą, smutną“.

Odtatrza Tatry „Góra“ Mieczysława Brauna (w „Rzemiosłach“), jeśli wogóle autentyczne przeżycie tatrzańskie było źródłem utworu. Wspominam tę „Górę“ dlatego, że przedstawia osobliwy rodzaj wierszy tatrzańskich, w których Tatry lub ułamki Tatr stają się tylko symbolami spraw odmiennych, zgoła nietatrzańskich. Rzecz jasna: komu ostro i na zawsze wryły się w pamięć Tatry, temu nawijają się ich obrazy tłumnie i natarczywie. Wiadomo, że *secunda comparationis* (nie tylko w rozłożystych porównaniach, lecz także w przenośniach i symbolach) są zwierciadłem osobowości autora. Kto przesiąkł Tatrami, zdradzi się, choćby nie chciał.

A jeżeli chce? Jeżeli chce, napisze o Tatrach całą książeczkę wierszy. W ostatnich latach sporządziłem dwie takie publikacje: „Na granitowym maszcie“ Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i „Sen zimowy“ Leopolda Lewina.

Jaworski zżył się z Tatrami, zna je dobrze, jest niezłym taternikiem. Ale i on nie tyka wierszem taternickiej drogi, nie pamięta Tatr ciałem-spinaczem. Wyjątkowo finał cielesny wysiłku:

„Serce tłucze ci w piersi, jak dziecko! o korę,
gdy dumną stopą zgnieciesz dumny wierchu czub“.

Stosunek do gór? Bywają opisy (wśród nich najpiękniejszy „Nad Zielonym Stawem Kiezmarskim“, a najpiękniejszy dlatego, że śmiało i wraz łagodnie wiąże naturę dzikiego, słońcem rozpieszczonego zakątka Tatr Wysokich), bywają refleksje, bywa bogomyślność i bóstwo osobowe, bywa panteizm czy panharmonizm, co „Noc pod Wysoką“ Asnyka przypomina, bywa dwugłos nastrojowy pejzażu z erotyzmem, jest nakoniec samosąd poetycki, który tatrzańskich ani włoskich wierszy nie poczytał za drabinę Jakuba wysokości dostatecznej:

„Skazanym na wieczyste, tragiczne szukanie,
zakneblowane mam usta“.

Dopiero śmierć będzie dojściem, wedle optymistycznej wiary poety radosnem:

„Jak słońce mię oślepi to słowo jedyne,
a w piersiach coś zaboli i pęknie aorta:
wówczas w czarnej gondoli, radosny, popłynę
w laguna morta“.

Leopold Lewin marzy raczej o Tatrach, niż Tatr doznaje. Z marzeń i nierychliwego estetyzmu dzierga wiersze i zwrotki. Czasem się taka zwrotka przymili nieskalaną poprawnością, czasem urazi jednostajnością rzeczy bliskich, łatwizną powtarzania:

„Sikława chciała jeszcze w skalne bić łożysko,
buntowała się woda w stygnącym potoku,
ostatkiem sił podbiegła nad skalne urwisko
i zamarła w powietrzu, sprężona do skoku.

Zastygła w grube złomy, w kawały urwiste,
w lodowce zwisające, w mrożone kaskady
i trwały nad przepaścią, błyszczące i ślislike,
zamarzniętych strumieni mrożne wodospady.“

Pierwszej z tych zwrotek przynaję poprawność (choć „sikławie“ brózdzi estetycznie „woda“; za bliskie to stanowczo mimo różności!), drugiej zaś tylko monotonię, skoro n. p. „mrożone kaskady“ i „mrożne wodospady“ „zamarzniętych“ na dobitkę strumieni są przykrą tautologią.

Cechą „Snu zimowego“ jest zresztą bardzo niska, powierzchowna znajomość Tatr i jakaś cukierkowata trwożliwość poety: bał się mgły i aż ratunku niepoważnie wołał (utwór „Mgła“), a z „Wieczornego spaceru“ uciekł, „zagnany do domu huczącą śnieżycą“. To nie są Tatry.

O ileż mężniej, o ileż intensywniej i jak nowo, jak artystycznie śmiało wstępuje „W góry“ Przyboś! Oto jeden z najpiękniejszych wierszy tego poety:

„1

Miasto jak kamień rzuciłem za siebie
i, zanim upadło,
nasłuchuję.

Świat
dopiero co zamilkł — górą.

2

Nawał wylewa ziemią na niebo.

Horyzont
nad głową coraz wyżej kołuje,
coraz ciężej.

Głowę dźwigam oburącz.

Jakby łeb ziemi na mnie spadł.”

Trudno w krótkim szkicu omówić wszystko, co powojenni poeci polscy o Tatrach napisali: mówię o tem, co mam na biurku. Więc jeszcze Liebert, Iwaszkiewicz i Roman Kołoniecki.

Zdolny, chory i rzewny, przedwcześnie zmarły Jerzy Liebert ujął „Jeziora górskie“ wierszem niebanalnym, a pięknym ową młodzieńczo-artystyczną naiwnością, którą w „Morskiem Oku“ Nowickiego chwalił kiedyś Kazimierz Tetmajer. Nawet motywy podobne: tu i tam miłość.

„Dzień wstaje zwołna, patrzy w zadumie,
zanurza palce różowe w toń;
później ze wstydu podnosi dłoń,
że pieścić lepiej nie umie”.

Iwaszkiewicz wypławił się w górach po uszy. Howerla, Beskid Lesisty, ale i Tatry. Pamiętam go z przed wielu lat: młodego, sprężystego, ogorzałego taternika-włóczęgę. I z owym zdrowiem, z ową poufałością zdrowia i gór kojarzą mi się rześkie, soczystosłowe opowiadki górskie w „Pejzażach sentymentalnych“. Prostością zaś prawdy uczuciowej i świętością psiego przywiązania do Tatr pobrzmiwa finał króciutkiego w tejsze

książce „Dojazdu do Zakopanego“. Ot co: „dobrotliwa powaga“ siniego wału Tatr, gór „najpiękniejszych na świecie“, to właśnie prawda takich serc.

Roman Kołoniecki jest poetą bardzo kulturalnym. Wystarczy przeczytać którykolwiek przekład z Anny de Noailles („Solo fletowe“, 1934) i już się wie, że z kulturą sprawa. Tatrzańskie wiersze Kołonieckiego nie krzyczą: są opanowane, ale bujne i świeże. Osobliwego piętna przydaje im zmieszanie tatrzańskości z poważnym, męskim zdrowym tonem nawet w cierpieniu erotycznym. Żal mi, że nie znam innych księzek Kołonieckiego.

TADEUSZ BOCHEŃSKI (Kraków)

Gdy już mowa o zbiorach, całkowicie poświęconych Tatom, należałoby jeszcze wspomnieć o „Buncie lawin“ Kazimierzy Alberti. Kobięce pióro autorki ujawnia się tu w nadmiernej ilości drogocennych kamieni, hojnie rozrzucanych w przenośniach licznych wierszy. Te „chryzoprasy“, „turmaliny“, „sardonyksy“ i wiele in. nie wydają się nazbyt szczęśliwe w zastosowaniu do surowych w swej prostocie Tatr. I może dlatego do najlepszych wierszy w zbiorze należą erotyki, w których góry schodzą na plan dalszy.

Marja Morstin-Górska w „Krań miłości“ swej ujęła również i Tatry. stąd w kilku wierszach „tatrzańskich“ tej książki góry są tylko tłem miłości lub jej wyrazem. Najbardziej charakterystyczny pod tym względem jest niepozobawiony swoistego wdzięku utwór „Na przełęczy“.

Piękny cykl „W górach“ zamieścił w zbiorze p.t. „Włóczęga“ przedwcześnie zmarły i niedoceniony poeta i tłumacz Wacław Denhoff Czarnocki. Obcując z pięknem Tatr, w rusowskim powrocie do natury odnajduje poeta radość i szczęście człowieka pierwotnego: „Tak bieleję powoli i krzepnę, jak na słońcu chłopskie płótno. Wszystkie wasze zawisłości przyczepne są bajką wierutną“.

Nieprzeciętne wreszcie miejsce wśród powojennych poetów Tatr zajmuje autor powyższego szkicu — Tadeusz Bocheński, który „na granitowych ścieżkach, gdzie buja siwy wiatr, przyjaźni (ę) się z pustynią fioletowych Tatr“. Najpiękniejsze karty twórczości Bocheńskiego są związane z górami, a mający się wkrótce ukazać jego „Dziennik tatrzański“ zainteresuje zapewne nie tylko miłośników gór. Oprócz wymienionych poetów o Tatrach pisali jeszcze: M. Pawlikowski, M. Wolska, St. Bąkowski, J. Gałuszka, W. Słobodnik, J. Wieleżyńska, S. Raciążkówna, M. Znatowicz-Szczepańska, A. L. Czerny, T. Wittlin i in. (Przyp. red.)

P O W R Ó T N O C N Y

Z opisu skreślam mgłę i ciężkie krople dżdzu.

W drzewie rzeźbione świerki pogasiły mokrym cieniem
światło blado broczących gwiazd,
granit chmurami pod ostre czoła zarósł.

Kto słuchał huku ciszy, gdy strzela dymiący komin
między rysy w czeluściach nieba —
kto gardłem zimnem pił hałas zielony wysokiej siklawy,
kiedy w wąski otwór jarzębinowych dolin
po głazach śliskich spada?

Garłuch od piersi zruca dym deszczu —
mokremi ustami trudno słuchać głosów pościgu,
wiatru,
kiedy się modli w kaplicy żywego drzewa
i, jak mnich, prosty tłum świerków oddechem dotyka
— przestrzenia.

Imię brzmi jak naród
i — echo z łoskotem spływającej wody.
Tylko echo —

i góry na głębinach z błękitu.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

WSPOMNIENIE TATR

Cień taternictwa przy góralskim wózku,
Jak zawstydzenie, myśl ku nogom kładł.
Zarys niemocy wśród olbrzymich Tatr
Lękliwie przywarł do przymkniętych powiek
I całe góry zgnębień żłobił w mózgu
Kłębkami głazów, obłoków i owiec.

Tak blisko siebie, jakgdyby się tarły, --
Garsteczki wełny owczej i rzes sierść.
Lecz oczy same pozostały obce,
I obco — z grozą patrzyły się w Tatry
Poprzez igielki zawstydzonych rzes.

STANISŁAW CZERNIK

W I A T R H A L N Y

Świerki puchły od wiatru, porwane balony nocy.
Góry, poprzez horyzont przewieszone, rosły —
Jakżeż ciemność do snu wargami miękko otoczył
i na ramionach najwyższej z drzew sosny —
dźwignąć.

W kołyszące się trumny dolin, ze szczytów spada wiatr,
poprzez niebo przerzuca wyrosłe u stóp gór regle.
Ściany, odarte z ciszy, drżą jak drewniane kręgle,
w rozkrzyżowanych rękach nie uradzę krzyża Tatr.

W tę noc, pękającą od huku,
dlaczego wołam -- mamol
W rozdygotanych kołyskach kotlin skomlą potoki,
jak małe, ślepe psy, wyjące za suką.
Tak samo
skomlę
ja!

JAN KOTT (Warszawa)

P O Ż E G N A N I E

Były dni pełne,
wystukiwane chrobotem podkutyh butów --
— niosłem hale szerokie u nóg sprężystych
— głębokie rzuty dolin błękitniały.

kroki wprost w niebo
buki jak ognie ofiarne płonęły
...szczyt toczy wokół senny błękit —

Toczyły się szczytów fale ściemniałe
na leśnych uroczyskach smrekowy ciemniał cień
— ścieżka powrotu zagubiła się w mchach i chojarach.

Kładłem duszę wezbraną górami — szeroko

pierś mi spaloną dał wiatr
przełęcz — krąg spojrzeń dalekich ostatni
doliny — doliny —
dolinami wzwyż odpłynął las.

JAN SZCZEPAŃSKI

Po stawie sunie zamglony nimb
 Toczy pierścienie,
 A na błękiecie — żalobnych limb
 Ponure cienie.

I zorza — dni przelana krew —
 Płynie obłokiem,
 I księżyc jak wzniesiona brew
 Nad Morskiem Okiem.

LEOPOLD LEWIN

A Z Y L

Tadeuszowi Bocheńskiemu

Gdy prowincja mnie dojmie dokuczliwą plotką
 i zbrzydnie znany widok nudnych twarzy tyłu,
 ku jakim wtedy pomknąć mam zbawczym opłotkom,
 gdzie poszukać na chwilę wiernego azylu?

Zatrzasnąć drzwi pokoju, przymknąć cicho oczy
 i szukać zwiewnych wspomnień w dymie papierosa:
 oto mgła się podnosi wokół skalnych zboczy,
 oto w igłach kosówki srebrem błyszczą rosa.

Oto magja poranku, górskie czarnoksiężtwo:
 staw jak misa radości niebu się uśmiecha,
 słońce złotą fanfarą obwieszcza zwycięstwo,
 którem cieszą się kozic igrające echa.

Płuca chłoną łapczywie nie powietrze — ozon,
 z którym siła nadludzka wraz w mięśnie sływa.
 Już mierzę się z przepaści tajemniczą grozą,
 już w triumfie nad śmiercią rozwiała się grzywa.

A oto szczyt już depczę, olśniony przestworem,
 dziesięć lat z barków spadło, serce pierś rozsada.
 Jak młodo, jak szaleńczo! Cały świat otworem.
 Granią gór poszarpanych szczęście się przechadza.

Lecz obraz się rozwiewa, dogasa papieros
 i przez okno natrętnie gwar miasta się wciska.
 Jeszcze wrócą dni tamte. Niedługo. A teraz
 idź, mrówko powszedniości, do swego mrowiska.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

„K A R C Z M A“

(sceny aktu pierwszego)

Scena przedstawia wnętrze karczmy zbudowanej z płaz, szeralniałych od starości. W lewej ścianie drzwi, prowadzące do drugiej, mniejszej izby, gdzie siadają wybrani goście. W rogu za temi drzwiami stoły, ustawione pod kątem prostym, za niemi ławy, w głębi za stołami dwa okna, jedno w lewej, drugie w tylnej ścianie.

W głębi, nawprost — drzwi stale otwarte, przez które widać sieni i drugie drzwi, wejściowe. Naprawo w głębi — szynkwaz, załamany pod kątem prostym. Z prawej strony, tuż przy szynkwazie, drzwi do mieszkania karczmarza. Bliżej widowni pod ścianą stół i ława dla muzykantów.

Weczesna godzina ranna. Przez okna z lewej strony wpada promień słońca, rzucając sноп światła na stoły i podłogę. Światło to w połowie I aktu przesuwa się i pada z drugiego okna w tylnej ścianie. Karczma jest w nieładzie po nocnej pijatyce. Na stołach kufle i kieliszki wypróżnione, stoły i ławy podsuwane.

Na scenie niema nikogo.

S C E N A I

(Wehodzi KUNDA, boso, w kolorowej spódnicy, zapasce w kwiaty z jednej strony podwiniętej i lufanej kószuń z zawiniętymi rękawami. Na głowie dwa warkocze ciasno splecione wtyłe i związane wąską wstążką. Na szyi sznurek czerwonych koralii. W rękach ma konewkę z wodą, miotłę i ścierkę. Stawia konewkę na środku izby, rozgląda się, kręci głową na widok nieładu, następnie otwiera drzwi do sieni i okna. Następnie zabiera się do robienia porządku, skrapia dyle wodą, zamiata, zbiera kufle i kieliszki, wyciera stoły i ławy, ustawiając je na miejsce. Do sieni zagląda JUKO NIEMRAWY, nadśluchoje, podchodzi cicho do drzwi, wiodących do izby i przyczajają się za progiem. Gdy Kunda, zamiatając podeszła do drzwi, Juko straszy ją, zahuczawszy jej głucho nad uchem.)

JUKO stłumionym głosem Hu—u—u—u

KUNDA przestraszona Przestrochałeś mie zatacza się i siada na ławie az mi serce staneno.

JUKO wykrzywia się w śmiechu Strach, strach o serce, wsendyl strach o syćko...

KUNDA Co ty pleciesz, co ty tam wiesz. Lo tobie ino papu i śpaku.

JUKO Wiencyl, wiencyl wiem: fto kogo krzywdzi, fto komu skodzi, fto bije, fto pije, fto ku komu chodzi.

KUNDA zaciekawiona Coś ty Jukó wiesz?

JUKO Wiencyl wiem, jako zjem.

KUNDA pokazując na ręce Kielości dać moskala? Telo, cy telo?

JUKO pokazuje palcem do łokcia Dziśbyk — telo.

KUNDA daje mu miotłę i wychodzi do sieni Zamieć sień.

JUKO podchodzi do stołu i wypija z niedopitego kieliszka, rozglądając się, czy kto nie nadechodzi, potem zamiata sień. Wehodzi Kunda z plackiem, pokazując i drażniąc się z nim. Juko przewraca oczami, giaszeze się po brzuchu i oblizuje się.

KUNDA Powies co wiesz?

JUKO tajemniczo Ciało w przykopie...

KUNDA Cyje, cyje ciało?

JUKO Franek Galiberda pauza utopił się pauza przy
młynie...

KUNDA chwytając się pod serce Lo miłości syćkik!

JUKO odbierając jej placek z ręki Cożeś tako strachliwa? (je)

KUNDA Przecie to strasne.

JUKO Urodzi się, rośnie, zamrocy go, gaśnie (je dalej)

KUNDA Jukó, dziwnie gadas.

JUKO Kochajom się, zabijajom się.

KUNDA kiwa głową Skróny tego...

JUKO Taki świat, taki świat.

KUNDA Dyć Jagniesia, jego...

JUKO kiwa głową Ona.

KUNDA Radzi się przecie widzieli?

JUKO No dyć tak.

KUNDA To cemus się topił?

JUKO Taki świat...

SCENA 2

(Słychać kroki zbliżające się. Kunda daje znak Jukowi, żeby się oddalił, Juko chowa placek za pazuchę i chwielejąc się na koślawych nogach, wychodzi przez sień i znika naprawo, rozmijając się w progu z Janikiem, który wchodzi do karczmy)

JANIK do Kundy Habryke

KUNDA Pockojcie kwilecke staje na progu w drzwiach do izby karczmarza gaździno, pocies haw! Janik tymczasem nabija resztkę tytoniu fajkę. Wchodzi gaździna i staje za szynkwasem, Kunda wychodzi do izby.

JANIK zapalając fajkę Dejcies białom Karczmarka daje mu paczkę tytoniu. Janik płaci, wysypuje tytoń do miechora, ubijając go.

KARCZMARKA Daleko?

JANIK Po drzewo jade. Cni się w lesie samemu, przy drzewie bez kurzenia.

Ho w starym lesie case okrutnie cicho i mrocznie. Żupnies siekierom, — echo się dwoi, pacnies na fajce—ozlego się.

KARCZMARKA Nie dziwota ze otukno samemu. Padajom starzy: syćko złe w lesie siedzi.

JANIK W taki dzień, jako się na dziś prorokuje, będzie zawierucha.

KARCZMARKA zdziwiona, patrząc przez okno Przecie pogoda?

JANIK Kie się wiesajom, abo topiom, to djabli z wiatrem tońcom. Wiemy syćka.

KARCZMARKA Słyseliście kany co?

JANIK Našli Franka Galiberde w przykopie, niezwygo.
 Karczmarka zdziwiona chwyta się za głowę Ale ftoz go hań rucił?
 KARCZMARKA Topielec... biedna Jagnieś.
 JANIK zamyślony Utopił sie, cy go utopili?

S C E N A 3

Wchodzi Kunda z koszykiem kartofli i z putnią, w rękę trzyma nóż, zatrzymuje się na progu, wsłuchana w rozmowę.

JANIK Ale cas mi jechać. wychodzi

KARCZMARKA Dowiemy sie syćkiego.

JANIK ogląda się na progu Ludzie doniesom. wychodzi

S C E N A 4

KARCZMARKA do Kundy Bieda idzie po syćkik, ale tys ta i nas nie opusca.

KUNDA obierając kartofle Ociec was sie zmienił po tyj nocy. Chorość go ściągnała na gębie.

KARCZMARKA Okrutnie go dojeno. Jedni radzom doktora, drudzy zaś padajom, ze je stary, nie warce jeść dać a coz dopiero nakładać, kie juz telo schorowany.

KUNDA Zawse cosi to musi być. Trza przecie radzić.

KARCZMARKA Kie on tys nie fce, ze skoda piennydzy. Pedzioł, ze trza robić miejsce na świecie lo młodych, kie sie jest starym.

Niek ze juz tak skapie, bo my sie dość na niego wykostowali bez tele roki. Wcora my bycka przedali za stówke, a dziś kiebyś jom na leki doł.

Dwie cyganki stanęły za oknem, przysłuchując się rozmowie. Karczmarka robi porządek na półce.

Tak se o tem syćkiem ozmyśluje, jako to kręto idzie: ociec chory, krowy, djabli pote sie dojom. Cyganki stanęły w drzwiach.

S C E N A 5

STARA CYGANKA Gaździno, dejciez ta jakiej omasty, jakiej spyrki, biedne my, cyganki.

KARCZMARKA zła Icie ka inendy, tam wam dadzom.

S C E N A 6

W drzwiach uchylonych ukazuje się kulka (laska) i słyhać głos.

GŁOS OJCA Odegnaj ze te bestyje.

KARCZMARKA przymykając drzwi Dejciez pokój, bo wom bedzie zaś gorzyj, jak sie zeźlicie.

STARA CYGANKA Macie tu niesceniście w domu, złych macie ludzi, złego cteka, co wam skodzi. Nic nie dajcie, jo wam tak powróze.

Macie tu ino cosi podłozone kajsi w domu. Jak tego nie usuniecie, bedzie niesceniście.

KUNDA Dajcie se ta ino, dajcie powrózyć, bo one mi ta raz prawde pedziały.

STARA CYGANKA Przynieście tu nowom spodnice z kołka i zaweźcie jajo, a jo wam powróze. Karczmarka wychodzi do izby naprawo.

MŁODA CYGANKA podchodzi do koszyka z kartoflami bierze kilka kartofli, chowając je do worka, zawieszzonego pod fartuchem. Duze gróle macie. Bierze nową poreję i chowa. Piękne gróle macie.

KUNDA Biercie, biercie, zakiela gaździny nima, bo ona okrutnie sknerzy, skąpa, jak dwa djabli, choć majontku dość jej przysparzajom pijaki.

Wehodzi karczmarka ze spódnicą i jajkiem. Stara cyganka wkłada jajko do spódnicy, zaczyna nią obracać, zawijać, przekrecać i wyjmuje z niej kość, owiniętą w kudły.

STARA CYGANKA Przynieście święconej wody Karczmarka wylatuje do izby, przejęta. Młoda Cyganka uśmiecha się do Kundy a Stara Cyganka, chowa jajko za pazuchę, zwracając się do towarzyszki.

STARA CYGANKA Purdyły na Dzianis

MŁODA CYGANKA Koćko Iwano dre. Wraca karczmarka z wodą święconą w garnuszku, stara kropi kość wodą

STARA CYGANKA Kiebyście teraz mieli jakie pieniądze, bo bez tego nie moze być. Ale nie tak zebyście mi dawali, ino trza tom kość owinąć w te pieniądze i zanieść na smentorz, ka świeży trup leży, co niewłaściwom śmierciom umar. Trza włożvc do tego grobu i do sóstej godziny, rano, mo ona tam lezeć.

KARCZMARKA Nie dom, bo ino tom stówke mom, cok za bycka wziena.

STARA CYGANKA Ino przynieście przynieście, a uwidzicie, ze niesceniście odejdzie od was. Karczmarka wychodzi, stara leży na palcach Jednoła, drugoła, trójka, łójka, pędzi, łędzi, sekma, dekma wraca karczmarka z pieniędzmi i daje cygance, która zawija kość w banknot. Karczmarka rzuca się jej do nóg i lamentuje.

KARCZMARKA Nie biercie mi tyk pieniędzy, nie biercie

STARA CYGANKA Nie bójcie się, a uwidzicie, ze tu o sóstej rano zaroz moja noga bedzie cyganki wychodzą, równocześnie wehodzi karczmarz z izby z wymyślaniem. Karczmarka stoi przeżona.

S C E N A 7

KARCZMARZ Co tu teli ruch, gonis, jakby cie co opętało.

KARCZMARKA No dyć mie te cygańskie duse omamiły, cok im stówke dała.

KARCZMARZ E ty babo zatracona, myślałek, ze spódnicami kupcys.

KARCZMARKA Miej ze rozum, miejze rozum, nieholof telo.

KARCZMARZ A ty ka mos rozum, ześ tele dudki cygankom dała?!

KARCZMARKA lamentując Tak mie wej omamiły, tak mie wej opętały.

KARCZMARZ Po coś to zrobiła?

KARCZMARKA Dyć mi pedziały, ze zły cłek stoi nam na zdradzie, ze nos odcarujom.

KARCZMARZ rozkłada ręce Osalała! Tyś fse babo głupio było, iś jest.

Kunda podźze, moze ik łapimy. Wybiegają razem z Kundą

KARCZMARKA Rozum mie odesał na tom kwile.

HELENA i JERZY MIECZYŚLAW RYTARDOWIE

P R Z E P A Ś Ć

Deszcz ustępował z gór i z pod zamglonych, niekształtnych obłoków zaczęły się zpowrotem wyłaniać nieznane zarysy wierzchołów i turni. Ścieżką, przekopaną w trawiasto-piarżystem zboczcu, szliśmy w powolnem milczeniu, ucząc się nowego widoku. Tu perć wspięła się na mały cypel skalny, połogi, porośły trawą i kosodrzewiną, po drugiej stronie jednak nagle ścięty prostopadle. Stąpamy ostrożnie, przewodnik, święta księga, ostrzega bowiem: „nie zbliżać się zbyt do urwiska“! Lecz lęk nie ukróca ciekawości: zdejmuję owalne pelerynisko, ochronę przed niedawnym deszczem, zdejmuję worek, i, lekki, przesuвам się nad krawędź. Na mokrej trawie kładę się na brzuchu, wychylam.

Z pod oczu spada otchłań. Zimna brunatna otchłań w zieloną głąb ściemnionej lasem Roztoki. W pionowym skoku wnurza się ląd w oceaniczne dno. O otchłań ociera się odarta z granic przestrzeń. Tu, w tej przepaści, jedynym jej wyrazem jest śmierć, a dziób trawiasty jest nagle statkiem, idącym pod wodę. Odsuwam się niemal z lękiem. Czyżbym doznał zawrotu głowy?

To jest rok 1921 — nie umiem znaleźć, i nie szukam lepszych porównań — obiecuję sobie unikać przechodzenia Świstówki, mizernej owezej turniczki, grzyba na Opalonem pomiędzy Morskiem Okiem a Pięciu Stawami. O jej północnej przepaści czytam, że jest „najbardziej prostopadłą ścianą w Tatrach, tak że z jej czubka niemiło spojrzeć na dół“. No więc chodźmy dalej.

To był rok 1921, ale mija, mija, mija tuzin lat, i zdobywam już swój własny pogląd na Tatry. Północną ścianę Świstówki opisuje pierwszy Eljasz: „Každy idący tą doliną (Roztoki) niech zauważy szczegóły t.j. skałę Świstówki, najbardziej spadzi-
stą w całych Tatrach, na której się ani źdźbło nie utrzyma, gdy na przepaściach Gierlacha, Krywania jeszcze się tu i ówdzie trawnik pokazuje“. Nad północną ścianą Świstówki rozczuła się jeszcze najnowszy Chmielowski-Świerz „...wspaniałą niemal pionową, 300-metrową przepaścią urywa się Świstówka ku Dol, Roztoki (nie zbliżać się zbyt do urwiska!)“ Miłe są takie słowa, najlepszy bodziec, abyśmy się z urwiskiem spróbowali.

Wyrusza nas czterech. Na Hali Roztoce zapadamy w parominutowy odpoczynek, trzeba wytchnąć i przyrzec się zerwie. B wyciąga z kieszeni notes i ołówek i rysuje kontury ściany — K i P piją mleko — ja przymierzam nasz pomysł do trójkątnego, ostrocyplem wierzchołkowym uwieńczonego urwiska i szukam domniemanej linii drogi. Ale niewiele stąd widać. Urwisko jest niemal takie jak dziesięć lat temu: gładko okrzęsany pion. A jednak chcemy weń wejść.

U stóp skał — wysoko zadzieramy głowy. Nikt tu nie deptał, patrząc niepewnie ku górze, bujnych zdziczałych traw, których wysmukłe kłacze mają nam za chwilę pierwsze chwytty umożliwić. Połogo i blisko opada dno Roztoki, poszerzone wdole o nasze zejście w bok drugi. Stary zbójcecki las i zioła — i wyćwiczone, sportowe urwisko.

Teraz się ono różnicuje. Na skale lśnią smużki trawniczków. Tu, wdole, powinna być nyża, wpośrodku ów zachód, wskos tnący ścianę, wgórze ów świerczek, ponad którym już szczytowy skrzyżał. Czy uda nam się przejść tę aromatyczną przepaść?

Trawiasty dół chcemy minąć szybko bez asekuracji. Bez namysłu po przykrych, urwistych upłazach, machamy 50 metrów ściany. Natychmiast zmienia się nastrój i orientacja psychiczna! Tak musi być zawsze, gdy przyrodzony stopom poziom zmienia się w pion.

Dolne upłazki kończą się, docieramy do litej skały i właściwych trudności. Od naszego stanowiska ściana wygląda równie przychylnie jak efektownie. Dufny B włazi odrazu w stojącą dęba rynnę, która górą zacina się w rysę. Chwyty za chwyttem forsuje B rynnę, skała jest trudna ale mocna. Rynnę pokonywa, ale w rysie zatyka się zmiejsca. Cofa się — namyśla — próbuje w prawo — tędy jedyna możliwość — ale za trudna — zawraca.



Przepaść przestała więc żartować. W rynnę wśrubowuje się K, najmłodszy. Popisowo wspina się rynną, poczem skręca poziomo wprawo. Na powietrznym żeberku powoli okracza węgiel skalny. Już teraz wiadomo, że ściany nie ugryzie się uproszczonym marszem w górę: że tubędzie trzeba chytrze i lissio przemykać się po podwieszonych półeczkach, tępych ściankach i mikroskopijnych zachodzikach i że droga, o ile wogóle możliwa, ułoży się z zawikłanego i niewątpliwie na wielkim poziomie trudności przewinięcia się — przez przepaść.

Jest nas czterech, trzy liny, 2 młotki, 10 haków i 6 karabinków. Tylko pętli nie taszczymy ze sobą, przecież się nie cofniemy! Wąż naszego przejścia rozwija się celowo i systematycznie. Jednolita, niedostępna przepaść rozmienia się w naszych dłoniach w rozczarowaną iluzję, pełną nieoczekiwanych, zdumiewających zmian, nowości, niespodzianek. Tu mijamy mokrą wnękę, stęchłą jak piwnica, o fosforyzujących ślepiach śniącego w mroku mchu. A tu znów pionowe, świetnie uwarstwione zacięcie, dające rozkosz pomiaru sprawności palców, rąk i nóg. Tam wyżej zagadkowy trawers, ćwiczenie równowagi, orientacji i odporności na ekspozycję. A znów wyżej umiękły krzew zapomnianej, wysoko nad doliną uwistej koso-drzewiny, a jeszcze wyżej ów zabłąkany smreczek, drogowskaz szlaku, z za którego krępego pnia można wybornie ubezpieczać. A tu wreszcie cudowny balkon, szeroki na dwie dłonie i nakryty okapem skały, zawieszony wprost nad upłazkami doliny. Trzeba się nań wciągnąć, podczołgać, położyć, potem powoli powstać, odchylając ku przepaści. Droga jest niebezpieczna, bardzo trudna, skomplikowana i niezmiernie przepaści-sta — wciąż nowa, wciąż odmienna, teatralnie efektowna i dekoracyjna.

Jakiem prawem jesteśmy tu, w tem najdoskonalszem urwisku? Jak wolno się nam było odważyć w nie wejść i teraz pokonywać je metr po metrze, samym środkiem prawie bezpiecznie w asekuracji lin i haków? Te niepewne myśli, przeznaczone do wyparcia i wymiany, mają nasycić pierwszy głód wrażeń pozafizycznych, gdy odprężają się mięśnie przy ubezpieczaniu towarzysza i gdy można swobodnie spojrzeć ku pionowemu szczytowi góry i ku dołowi, gdzie droga doliny oddalona jest o całe pojęcie katastrofy. A więc dolina i szczyt prawie nie istnieją: jest tylko krzesanica skalna, i my, którzy musimy ją pokonać sprężystą wspinaczką.

Drogi przybywa. Haki znaczą jej węzły. Droga wije się, kluczy, ale wciąż strzela w górę. Wysoko w górze czepia się zerwy samotny krzew skoruszy. Zielone czulki chwytają lekki

wiatr i ocierają się o napastliwy granit. Słońca! Nikły nawis osmalonej ziemi pazurami korzeni wbija się w zakłęśłość skalną, uwisa nad dnem i nie spada. Korzeń tkwi w urwisku jak klamra. Krzew żyje jak my. Klamra oznacza przewagę.

Najwyżej w górze spaszty zwierają się nad nami w kształt ściosanej kolumny. Patrzymy z przestraszonym zdumieniem na dotychczasowy cień drogi. W ciemnych, zastygłych kaskadach rzuca się świat w mierzchną, przedwieczorną dal. Przyszliśmy z przepaści — przepaścią — i ponad nami jest przepaść.

Wnioskuje, że na lewo, poza wypukłością kolumny, znajdzie się może spiralna wklęsłość w górę. Tam zaraz zachodzi K. Ginie z oczu. Cisza. Oczekiwanie ostatniej próby. Wreszcie K wzywa do siebie, zabiera B i P. Nakoniec kolej i na mnie: przez jakiś bardzo trudny, poderwany stopień, przez krótki, opryskliwy kominiek, przez fantastyczną półkę skalną w zupełnym urwisku...

Już dosięgam węgła ściany. Po stronie przeciwnej da się... zejść kilka metrów. Ale od miejsca, gdzie półeczka stanowczo się już urywa, gdzie już stanowczo niema nic prócz powietrza — zachyla się w górę, wyliczona matematycznie, obrachowana doświadczeniem i znajomością gór, logiczna, prosta rynnna podwierzchołkowa. Wywodzi ona na spadzisty, kusy upłaz, porośły borowiną i skarłowaciałą kosówką. W tej ciepłej niedojrzałej zieleni tkwi pięknie obrysowany czub Świstówki niewysoki, bliski, najbliższy.

Kładę się na wierzchołku i spoglądam wdół na urwisko. Jest takie samo jak niegdyś — jednolite, prostopadłe, niedostępne, przepaść, zbierająca w sobie urok marzeń o sportowym zwycięstwie górskim. Zboku B opowiada jakiś tasiemcowy kawał. Słucham z dobrotliwym zadowoleniem. Myślę też, że zdobycie tej ściany będzie pierwszorzędną atrakcją dla „Taternika”. Zielona głąb odrealnia się coraz bardziej. K i P darzą dobrym śmiechem zakończenie dowcipu. Nie jestem głodny ani zmęczony. Urwisko u stóp coraz szybciej powraca do śliskiej, niedostępnej otchłani.

Jakimś stromym upłazem — na jakieś krótsze drogi — wracamy w Dolinę Roztoki. W zmierzchu nachodzą się znów ciepłe chmury. „Ale czy nam kto uwierzy, żeśmy pokonali tę ścianę?” kłopotczy się wesoło P. Granatowe mgły wstają w dolinie. W ostatnich cieniach dnia pnie się przepaść ku szczytowi nieba, zpowrotem gładka, pionowa, odległa. Pośpiesznie układam w pamięci rzeczowy opis jej przejścia.

FRAGMENT POWIEŚCI

Zostaję w schronisku. Wczorajszy dzień zapisał warjant drogi Adama. Kazia i ja. Kazia jest teraz zadowolona z życia i mało wytęża się intelektualnie. Istnieje dla zdrowia. Pogoda niebieska i słoneczna poleruje się w rudziejących halach. Dzwonki owiec omyte mglistym blaskiem stają się smutne. Pod jesień. Ostatnie goryczki.

Całodzienny camping. Kąpiel w ciepłym nie do uwierzenia stawie. Różowa, martwa woda wznosi się nad kamiennym dnem. Z ostatnich słonecznych poziomek paruje zdrowy, przenikliwy zapach cukru i suszy, gniotą się w palcach mszyste jak motyle. Grysik z sosem pomidorowym. Ogień zwija się w odurzających kosówkach. Twarze zamazane smagłym dymem. Cały dzień. Widok łagodny i spokojny. Pasma gór z plasteliny. Można na nie wejść. — marzenie dzikusa. To pierwszy stopień wtajemniczenia. Ale już w swobodzie. Płynę w wodzie ciepłej i różowej, obsycham na słońcu. Rozżarzona kosówka trzaska i rozłamuje się w czerwone smugi. Staram się nie wspominać. A więc szczęście nie może być zupełne.

Wszystko, co dziś czuję, jest smutne i wolne. Zalepiam pęknięcia słońcem, żywicą, co kurczy się w śmietankowe łyzy na ognisku. Pogoda rozlewa się w kryształę senne, suche. Jeszcze parę dni odpocznę w jesieni rdzawych hal. Kwitną ostatnie goryczki, gencjany głębokie i fioletowe.

Zaczyna padać deszcz, gdy wychodzimy ze schroniska. Wiatr mroźny z zielonkawego nieba, spierzchniętego jak woda w stawie. Nieruchome kosówki szorstkimi plamami topią się w gęstej wodzie, zacina je wiatr i rozwiewają się długą grzywą, sękatą jak owcza sierść.

Ale idziemy.

Kwadrans pola maliniaków. Deszcz tamuje oddech wilgocią. Czekamy chwilę w kolebie. Lemoniada paczy język ciągliwym wrażeniem zimna. Rozdarło się niebo, wyskoczyło małe słońce, zamglone sadzą deszczu. Idziemy. Deszcz krótki i wstrząsający. Węzeł. Wyżej wybiegł piarg z pod nóg, chrobotliwym szumem stoczył się aż do potoku. Zatrzymał się krąg kosówki i skoczył w niżej. W zawrotnym skrótce układa się staw pod mną w plamy szmaragdu i bieli, zrównane brzegiem z kamieniami. Skrzydlate cienie urosły i popłynęły w głąb. Głębia, stłumiona wysokością — mogłabym skoczyć — leciałabym mgnienie.

Czołgają się ręce po skale, noga odchylona z szczeliny. Lecz wyżej (nakaz instynktu). Wzburzyło się jezioro. Kotlina płynnego obłoku wre. Zgubił się czas. Zielone niebo, nieprzebite wzrokiem, z płynnej żelatyny, słodki smak w ustach. Ucisk — liście żabiego koloru, pletliwe, chybkie, lepiące się — żywe — następują. Szklanemi dreszczami bulgoce życie. Jeszcze żyję. Wypycham się na powierzchnię skrótami ruchów. Ręka. Rozchwiane palce wielkiego liścia białego i miękkiego jak ciało — ta ręka spycha mnie i dusi. W głąb — nachyla się twarz — dzieli nas faliste niebo, rozmarzyło rysy — włosy mszyste i kręte plotą się z łodygami — tam cień, uśmiech rozdarty, szorstkie odchylenie głowy, ramion z obelisku... Woda zagarnia czoło — mącą się myśli, cienie wykrętne — wielka głowa dziewczyny pryska na powierzchni jak bańka, otwiera i zamyka usta blade, jeziorne. Chce mnie zjeść. Aha, to ona uderzyła Adama w twarz.

— Ściągnąć linę! — wrzeszczy towarzysz.

Zwinął się sen jak ślimak. Staje się to, co o krok. Wspinał się wychylenie przewiechy toczy senną walkę. Strumienie wody rwą. Marzną palce otarte o czarną zieleń mchu. Nogi w butach. Przesunąć się bokiem. Zgrzyta but — czy? — naprężyły się ręce — wiszę — wyraźnie szumi serce — nogi próbują maleńkich mchów — prysnęły gródki błota i roślin. Dreszcz mignął diamentowy i ostry. Ach, żyć, namiętnie! — zalepiły się oczy kosmykiem włosów, lepkich ze strachu. Dźwignęłam się. Wielki głaz, krągły jak udo, stuknął w przepaść.

Wyżej. To próba konfrontacji, Chcę żyć. To makabryczna nie obowiązująca zalotność prowadzi zalecanki ze śmiercią. Pryska subtelne oszustwo, gdyż chcą żyć moje nogi. Silne ręce podołają sportowi życia. To tylko kwestja siły ramion, szerokości oddechu. Zaciskam wspomnienia, żale, rozterki, obręczą wąską jak żleb. Na przełęcz. Na przełęczu jedliśmy chleb i ostry żółty ser, o nieznanym mi wówczas smaku. Skoczyły cienie ze szczytu, pomknęły wdół, od wody wybiegł ku nam wieczór. Skłębiły się cienie, zmierzwiły, posrebrały w mgle. W wietrze. W górach. Na szczycie. Wchodzę w radość bezmyślną jak czysta muzyka. Pod nogami staw jednorodnie zielony.

MARJA SZCZEPAŃSKA

„Serce człowieka skłania się ku górom z miłością, gdyż obudziły w nim poczucie wielkości duszy i oczyściły go ze wszystkiego, co niskie, choćby tylko na chwilę“.

(Francis Younghusband).

FRAGMENT Z DNI GÓRSKICH

Ponad dwiema niziutkami turniczkami — trzecia, niewiele większa. Dosięgam dłonią. Dosięgam Marję. Podaje mi: widok na drugą stronę.

W ciepłe cichego czasu, w słońcu poza pośpiechem, wchodzę z Marją na szczyt. Jak zwykle — własną drogą. Droga prosta, dość trudna, przez komin, źleb i źebro. Notuję opis, przebieg, narzucam nazwy. W przyrodzie, uważnej jak powieść, obejmuję góry i dzień, i Marję — i nawet siebie. Oczy zwijają widok jak ręce linę.

U stóp niziutkie turniczki, niepotrzebne i zapomniane. Wiatr chwieje ich kosodrzewiem, uczula trawy (nerwy). Są porzucone i bliskie.

Marja mnie obejmuje. Przez skórę widzę ciało, przez oczy widzę niebo. Jestem szczęśliwy i łatwy jak ciepły dzień sierpniowy.

Zwolna cofa się szczyt i wznosi wgórę jak odlot. Żegnamy się na przełęczy. Marja schodzi w dolinę przez smugi traw i kosówkę. W ścisniętym splocie sprężyn gubi się zwolna i niknie. Ja — idę ku turniczkom.

Dzień jest dojrzały, ciepły. Ciepłe są trawy i kamień. Wchodzę na pierwszą turnię: wpisuję w myśl i w fakt. Wchodzę na drugą turnię: wpisuję w myśl i w fakt. Trzy strony: trzy problemy.

Ale poza opisem, poza całością poznania cień już takiej wędrówki, która się traci w przestrzeni. Dotyk włóczęgi oraz schwytanie sensu dróg własnych.

:Dopiero tu, na krawędzi, w kosówce wielkiej jak limby; w skałach niskich i łatwych, zgubionych; w trawie gęstej i ciężkiej, nigdy nie zmiętej przez ludzi; w pustce przyrody żywej, przyrody jak egzotyzm.

W kolebie zastanę Marję, cienie prostują się wdali. Dzień wzdłuża się jak trawers i chowa poza węgiel. Moment, zdobyty sportem, napięciem i ekstazą: łamię się wgłąb.

Schodzę, płynąc w kosówki morzu burzliwem i lepkiem. Fale wynoszą wgórę, zniżają wdół. Fale kłują i chwieją. Dno widzę nisko od stóp.

Igły w ubraniu: piana. Zmęczenie: obcy rytm krwi. Zielone morze drga, zielone morze gnę się. Ale niepowstrzymanie płynę zmienną powierzchnią.

Giętkie i elastyczne fale spływają nisko. Z falą dopływam do wody. To ład.

...W kolebie czeka Marja.

TATRY W LITERATURZE SŁOWACKIEJ

W krótkim szkicu nie można powiedzieć wszystkiego, nawet nie da się mówić o wszystkich poetach osobno, musi więc wystarczyć syntetyczny obraz Tatr w literaturze słowackiej. W piśmiennictwie słowackiem wzmianki o Tatrach znajdziemy już w poezji wieku XVIII (Tablic), a i przedtem można spotkać odpowiednie ustępy w historii oraz poszczególnych naukach specjalnych, w krajoznawstwie, geologii, sztuce ludowej i t. d., ale nie o to nam tutaj chodzi. Interesuje nas najbardziej etap stosunku poetów słowackich do Tatr w połowie wieku XIX w szkole t. zw. „szturowców“. Uwielbienie Tatr dochodzi u nich do „tatrologji“: niema poety, któryby bodaj w krótkim wierszu nie dotknął zagadnienia Tatr. Problem ten bowiem dla „szturowców“ był ośrodkiem ideologii narodowej i „szturowcy“ w Tatrach widzieli kolebkę Słowiańszczyzny. Tatry były dla nich czemś nierozzerwalnie z ziemią słowacką związanem: wyraz Tatry — znaczył dla nich tyle, co — Słowacja. Tatry symbolizowali poeci jako matkę, która swoje dziecko—mowę słowacką chroni przed nieprzyjacielem. Tatry w swej potędze to memento, że naród, którego są najwyższym patronem, obrońcą, nie zaginie; są przykładem siły i wytrwałości: każdy Słowak ma być też takim silnym i nie ugiąć się przed nikim. Gdyby Tatr nie było, nie stałoby Słowacji—i narodu słowackiego bez Tatr wyobrazić sobie nie można. Świadectwem tego przywiązania całem jestestwem do gór jest i hymn narodowy słowacki, który od inwokacji Tatr się zaczyna.

Na początku wieku XIX Jan Kollar w poemacie „Slavy dcera“ wypowiada swe uczucia zapomocą porównań i symboliki, zaczerpniętych z przyrody tatrzańskiej i Tatr jako całości. Znaczenie Tatr dla Słowaków oraz dla ziemi słowackiej i słowiańskiej wypowiedział słowem poetyckiem Jan Holly, którego jubileusz 150-ej rocznicy urodzin obchodzi uroczystie w tym roku cała Słowacja. Holly jest wyrazicielem idei, że Słowacja — to Tatry (u niego św. Cyryl i Metody przyszli Tatry — to znaczy Słowację nauczać ewangelji).

Po Hollym wszyscy poeci słowaccy „szturowcy“ opiewają Tatry jak przeobrażenie przyszłości narodu, którego wyzwolenie musi przyjść, trzeba tylko wiernie przy górach stać i czekać. W Tatrach jest kościół Boga, katedra, arcydzieło stworzenia, schronienie świętego jego prawa i sprawiedliwości. W Tatrach śpią rycerze, którzy czekają chwili, gdy narodowi słowackiemu będzie najgorzej, wtedy to wyjdą walczyć o swobodę. Tatry były pryzmatem, przez który łamały się wszystkie myśli i uczucia.

Były kamieniem wieszczym, poeci obracali go w rękach, by z niego wróżyć, by w nim widzieć losy przyszłych dni. Na Tatrach odbijały się ich dążenia, przez Tatry musieli przegłądać wartość każdego przedsięwzięcia i góry te były dla nich niby fetyszem, który jako bożek predestynacji dawał, utrzymywał wiarę. To właśnie jest tematem i treścią poezyj Kuzmanyego, Chalupki, Krala, Hostinského, Sladkovicza, Želley, Hrobónia i innych.

Najwyższe i najwznioślejsze opracowanie tematu i uwielbienie Tatr znajdziemy w twórczości poety Hviezdoslava. U Hviezdoslava z miłością do Tatr wiąże się prometeizm, jak na polskiej stronie u Kasprowicza i Tetmajera. Temat Tatr nie jest opracowany w jakimś poszczególnym tylko dziele osobno, lecz w całym dorobku jego poetyckiej twórczości. Hviezdoslav żył i tworzył w Tatrach przez całe swoje życie i był zrośnięty z ich całą przyrodą; można powiedzieć, że jego twórczość — to pośrednictwo Tatr, to wyzwalanie się w ich obliczu z bólów, klęsk i tragedij własnego wewnętrznego życia i życia narodu słowackiego.

Jednocześnie liczni inni poeci oddają w swych utworach piękno Tatr w różnych częściach roku i dnia, urok różnych krajobrazów tatrzańskich, lecz nurtem głębokim tych wierszy jest zawsze ich sens metafizyczny (Vajansky, Horál, Razus, Roy i inni.)

W poezji współczesnej odrodzonej Słowacji pozostały Tatry i nadal w roli najwyższego obrońcy ziemi i narodu, za ich pośrednictwem Bóg przemawia. Tatry są ciągle źródłem poetyckiej inspiracji, piękno ich majestatu zdobywa coraz piękniejsze tony i formy w twórczości współczesnych poetów.

STANISLAV MECZIAR

„Z przedwiekowej czci religijnej gór pozostało w tatarniku ciche, korne uwielbienie mejestatu pustek skalnych; Staszicowska myśl odzywa się nakazem rozumowego przenikania tajemnych procesów przyrody górskiej; romantyczne odczucie natury spoilo go nierozzerwalnymi więzami z duszą Tatr, miłość serdeczna naszych ojców żyje w tęsknocie i przywiązaniu do tego świata niezapomnianych wrażeń i przeżyć, doba wreszcie współczesna nałożyła nań na zawsze obowiązek stawiania wobec grozy gór z nieulekłym w wyż podniesionem czołem“.

(Mieczysław Świerż).

T A T R Y W P O E Z J I S Ł O W A C K I E J

D O G Ó R

Gaśnie lampa powolutku, cicho północ bieży,
nie widnieje już wyraźnie pismo na papierze.

Chylę głowę udreconą, ciężą wiek i praca.

Okiem duszy widzę góry, myśl znów do nich wraca.

Widzę w półśnie Białą Górę nad ojczystym krajem,

u jej stóp wysterka Korlat, owinięty gajem,

widzę szarą Jaworzynę w lasu płaszcz spowitą,

bo ją zawsze bystrem okiem mój Inowiec wita.

Babia Góra nad Orawą stoi wciąż w mych oczach,

całunkami czule pieści się z dwugłowym Choczem,

a Królowa Hala woła do nich śpiewnem echem:

„Ach, kochajcie się, nie bójcie — miłość nie jest grzechem“.

Góry, góry, nasze góry, kocham was nad życie,

wam oddałem duszę całą, serca mego bicie,

czy was myje deszcz siąpiący, czy was słońce grzeje,

czy się na was obłok mroczy, czy się księżyc śmieje.

Cudne, harde wy jesteście, serce o was marzy,

jak anielski huf stoicie na narodu straży.

Ale zgińcie, zapadnijcie się w piekielne tonie,

jeśli więcej nie będziecie Słowiańszczyzny bronić.

SVETozAR HURBAN VAJANSKY

ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski

D U M A W T A T R A C H

Bóg wiecznem słowem, ruchem władceży dłoni

żywoły mętne wezwał do żywota

i objawiwszy się z wieczności toni,

obrazy światów ze szpuli rozmotał;

a wtedy duchem arcydzieło stworzył

i przed oczyma natury położył.

Tem arcydziełem są tatrzańskie zbory,

na niem duch boży wymalował wzory,

na skał granitach wyrzeźbił obrazy,

wszystkich kolorów wytłoczył wyrazy:

na nich się duchów i natury siły

jak w małym świecie w kryształach odbiły.

Żywołów chóry na murach Tatr grają,

mgły przewalają się, wichry hulają.

obłoki huczą, wałą w nich pioruny,

orły szybują, jęczą wiatru struny,

tam w głębokościach błysk gromu migocze,

tam w wysokościach słońce lśni ochocze.

Krywaniu! Daj mi błyskawicę obłoki,

niech nam odczynią w duszach złe uroki.

Krywaniu! Daj mi mroków twoich błyski,

niechaj Słowaków rozpalą te iskry.

Krywaniu! Daj mi światotrzesne gromy,

ich łoskot zwali Tatr potężne złomy,

a ja pioruny te przetoczyć muszę,

niby gromochron, przez narodu duszę.

Duch wasz, o Tatry, jak mgła na jeziorze

siada na wodach i otchłanie porze,

dźwiga się mrokiem i wichurą huczy,

grzmi piorunami i błyska wśród tuczy;

o duchu, duchu Tatr — tryśnij iskrami

i zapal wielki dzień nad narodami.

PETER HOSTINSKY

ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski.

T A T R Y W P O E Z J I S Ł O W A C K I E J

S E N

Szeroka góra,
rzucił się na nią wicher z uwięzi.
Chodzę pod cieniem starodrzewia
od gałęzi do gałęzi.

Widmowy mrok jak lawa ścieka
w głąb gardzieli wąskich cieśnin
i stado głodnych wilków szczeka.

Potoki huczą
legendą czasów dawno zbiegłych;
śpiewają o tym człowieku,
który odziany w skórę zwierza
darł się przez gęstą pasiekę,
co siedem strasznych wierchów mierzy.

Trzeszczały rzeki,
ziemia drżała,
wstrząsana zagnała siłą wściekłą
i wdali wierchy tatrzańskie
rzygały płomieniste piekło.

Słońce zachodziło krwawo,
a dawny człowiek z łukiem w ręku
czaił się na pragórze drżący
jak wiatr jesienią milczący.

Praojcze dawny,
ojcze mego plemienia —
czy jestem twoim potomkiem,
czy tylko zabłąkanym cieniem?

LUDO ONDREJOW

ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski *)

*) Przekładu powyższych trzech wierszy dokonałem dzięki uprzejmej pomocy dr. Stanisława Mecziara.

N A D H E R A T A T I E R

Ty jasne pląsz a śpiewasz na horach
a nepoznávasz plytkej falsze t'archu.
Smaragdóm zdoberná hrász v krasnych podobách
a tajomne cez blankyt vediesz archu.

O nádhera, keď' bozkáva ta slnce
a vichor tvoju krasu zdobi granátom,
aj ocezi moje pasù sa jak srnce
na ùboczi vábnom svetlom zaliatom

Chcem ùdel svoj a ùdel tvojej krásy
na hymnu spat' a zviehrit' nebesia,
cez lúce tvoje v hudbu zmenit' hlasy,
nech duch moj v krehkom smùtku neklesá.

Czo dar más zlaty-k vyszkam jasat'
a ticho czihazsz na znak wiecznosti:
mn'a v nárucz svoju vezmi, krása,
a ja vo vszetkom slúbim vernost' ti.

STANISLAV MECZIAR

Z braku odpowiednich czcionek dla oznaczenia głosek sz cz używamy transkrypcji polskiej, nad samogłoskami nie stosujemy wszędzie znaków diakrytycznych a miękkość oznaczamy zapomocą apostrofu.

„Geminus servus
et pro suis conservis”

(Inskrypcja)

Sine lodowce, wapnie, granitów spiętrzenia,
pustynio, której oddech, w dolinę posłany,
suszy, mąci i targa żyt i pszenic łany,
topieli jezior, lasy pełne gniazd i cienia!

Głuche grotty, mroczyste łąki, gdzie zbiegowie
starożytni, co giąć się nie chcieli służebnie,
mieszkiwali z niedźwiedziem i orłem podniebnie,
urwiska, wodospady, jary, cześć wam słowie!

Wymknąwszy się twardemu prawu i torturom,
wzniósł niewolnik Geminus tę kolumnę góróm,
świętym orędownicom surowej wolności.

Nad promieniami szczyty, gdzie milczenie gości,
w powietrzu nieskalanem, co w bezmiar ucieka,
dziś jeszcze słyhać okrzyk wolnego człowieka.

J. M. HEREDIA

przełożył Tadeusz Bocheński (Kraków)

Z TOMU „LES MONTAGNES PYRENEES“

Pirenejskie doliny

To kwiaty duże,

Tu i tam rozrzucone po górskiej wyżynie,

W bieli, w lazurze.

Patrz, jak się zniska wije ich smukła łodyga

Jednym rzutem ku niebu, mieniając się, podźwiga,

Rozchylają się w kielich rośne płatki.

Aż gdzieś, pod same granie,

Lodowiec, nieskalanie

Biały, skrzy i tęczyje.

Ziemia podrasta, długich fal się wzdyma grzywą;

Lecz jeszcze nosi złoto pól i ślady ścieżek,

Wtem, — powietrzem się czystem upita — podrywa.

Jej pyszna krawędź się jeży

Ponad obłoków pianą. —

Jako błękitne nurty w rytm morskich przyływów

Opada linją przełęczą łamaną.

Z francuskiego przełożyła Julja Wieleżyńska

Z „DZIENNIKA TATRZAŃSKIEGO“

części drugiej

11. X. 1927.

Z przełęczu Kondrackiej nie wracamy ku Piekłu, ale się ku Kondrackiej kierujemy Kopie. Cień-grzebień na hali Małej Łąki. Odmieniły barwę Tatry Wysokie: są teraz niebieskawe, lżejsze, rudawemi pancierzami po niskich stokach kryte.

Ze szczytu Kopy opuszczamy się ku perci, co się teraz grzeje we słońcu. Sucho tu całkiem. Śniegu niema. Siedzimy na upłazie i cieszymy się słońcem poprostu sierpniowem.

Dolina Cicha u naszych stóp. Na lewo Cichej Wody sznur i doliny Wierchcichej ustronie. Lasy, skały, niebo i słońce.

Śpieszymy ku Małołączniakowi. Perć przewija się ze strony polskiej na czeską, z czeskiej na polską. Jakże nieistotną, jak błahą rzeczą wydaje się granicą!

Góry coraz cudniejsze. Słońce świeci zawzięcie i oczy światłem zalewa, zatapia. Po górach pełgają najdziwniejsze refleksy. Tu jasnoliljowa barwa bzu, tam granat i głęboki fiolet. Śnieg to biały jest, to różowy, to niebieski. Niżnie Tatry w sinawem omgleniu. Nad wszystkim dal i dal.

Z Małołączniaka, na któryśmy wstąpili cieniem, otwiera się wprzód widok na słońce. Potem zaraz wybuchają przed oczyma Tatry Zachodnie. I tam sreżoga; smugi jasnoblękitnej mgły.

Krzesanica! Urwiska, spękany czub, śnieg na czubie. U stóp zaśnieżony, cienia pełny kocioł dzikiej i wysoko nad czerniawą Wantul zawieszonej doliny Mułowej. Cień leży na hali Miętusiej i barwi ją melancholją. Dalej, u Miętusiego Przy-słopu słońce i jasny, słońcem wysrebrzony szałas. Powiewa zimny wiatr.

Krzesanicą posuwamy się ku Ciemniakowi. Co krok jama nam zaziewa pod nogami, czeluść wąska, głęboka i czarna. Co krok przepaść przeraźliwa w dolinę leci Mułową, co krok inna ściana prostopadłego urwiska prezentuje się zdziwionym, zachwyconym oczom.

Nakoniec szczyt Ciemniaka i głąb Kościelisk u stóp. Pod słońce patrzymy. Las Smreczyński, las Pyszniański czarniejsze od wszystkich przypuszczeń. Plusz, czarny plusz. Niewielkie, odbiciem lasu napoły przymrużone oko Smreczyńskiego Stawu leży obok większego, zielonego owalu Smreczyńskiej Hali.

Czuję, że to pożegnanie Tatr. Rozstaniemy się znów na długo, na długie miesiące szarego, żmudnego życia. A przecie nic nad Tatry.

Patrzę po szczytach, po przełęczach, po niebie atlasowem, niezapominając cudnie malowanem i nieodparte napełnia duszę wzruszenie. Chłopcy siedzą opodal w milczeniu.

O, Tatry! W przedziwnie słodkiej, smutku bezradnego pełnej błyszczycie oto łzie, która mi się w oku zrodziła żegnającym.

Słońce wisi już nisko nad górami. Nie rozoznam wierchów poszczególnych. Oliwkowozielone olśnienie obezwładnia oczy, a kiedy na prawo spojrzę, granat czysty i spokojny, co się aż po równię rozlał zakopiańską, głaszcze mię, jak ta moja Melancholja w dawnym, tak bardzo dawnym wierszu.

Coraz złociej, coraz ogniściej na zachodzie. Martwieją już i zasypiają zbrunatniałe wierchy po lewicy. Słońce zapada. Patrzę mu w twarz i sto kolorowych krążków zjawia się wokół tej płonącej tarczy. Zachód odbywa się nieprawdopodobnie szybko. Już tylko gwiazda, już punkt, już tylko żółta, chromowa zorza nad górami.

Pociemniały, ale i ostro zarysowały się szczyty. Nad Niżniami Tatrami rzeczy nienazwane, nad Zachodnimi wciąż ta żółć pomarańczowa, lecz wszystko, wszystko—niewypowiedziane. Milknę.

TADEUSZ BOCHEŃSKI (Kraków)

Z NOWELI „EXODUS“

(urywek)

Łatwa jest droga z Hali na Świnięcę. Głupstwem i fraszką jest, kiedy się ma dwadzieścia kilka lat, mięśnie ze stali i zamiast płuc miechy kowalskie w piersiach. Nawet jeśli się ma przeciętnie zdrowy organizm, nie jest zupełnie trudna. Gorzej przedstawia się sprawa, kiedy już połowa płuc została wypluta. Wtedy jest ciężko i trudno. W piersiach brak tchu, w skroniach puls wali, wybija jakiś fantastyczny takt. Co chwila trzeba przystawać. W oczach ciemnieje. A wokoło tak pięknie. W dole małe stawki połyskują w pierwszych promieniach budzącego się słońca. Umyślnie wyszli tak wcześnie, by nie zastać nikogo na szczycie, by doznać prawdziwej rozkoszy, niezmaconej czyjaś obecnością. Na przełęczy Świnińskiej powitał ich wiatr od Cichej doliny. Było chłodno. Okryli się szczelnie w serdaki i płaszcze, nie mogli jednak przewyciężyć przykrego dygotu ciała. No ale przecież temperatura ich wynosiła zapewne dużo więcej, niż 37°. Ostatni kawałek z przełęczy na

wierchołek był najtrudniejszy. Golgota. Każdy metr zdobywali z wysiłkiem, kaszląc boleśnie i znacząc przebyta drogę czerwonym szlakiem krwawej flegmy. O 11 stanęli na szczycie.

Długi odpoczynek. Narazie zmęczeni drogą, nie mogą reagować na piękno widoku. Leżą na kamieniach, ciężko oddychając, zapatrzeni w niebieski bezmiar. Piętrzy się nad nimi Spokojny i Wielki Ocean. Białe żagle chmurek płyną łagodnie i cicho. I ogromna wulkaniczna wyspa słońca, rzygająca potoki złotej lawy. Wiatr, który niepokoił ich na przełęczy i w czasie wspinania się na szczyt, ustał zupełnie. Majestatyczna cisza, nieprzerywana żadnym głosem i jakiś niebiański spokój. Łagoda lazurowego nieba spływa im w dusze, napełniając je błękitem, piękniejszym od piętrzącej się nad nimi powały. Matka chce przelać swe zdrowie na dzieci. Chce tchnąć w nie siłę i moc. Ona je kocha naprawdę. Stąd ogień jej pocałunków. Bo matka jest słońcem dla dzieci. Cisza. Tylko oddech dwóch ciał w słońcu.

— To piękniejsze, niż sen — mówiła Wanda. Stefan wskazywał jej kolejno szczyty, tłumacząc ich nazwy. Najpiękniejszy Krzywań i wygląda solidniej od Garłucha. I on tam wszędzie był? I Świnica jest daleko niższa od tamtych gór? A tam daleko takie śmieszne, maleńkie Zakopane i tam jest ich willa z leżakami i termometrami. A oni uciekli od tego wszystkiego naprzekór zdrowemu rozsądkowi, na złość wszystkim doktorom i są tu, wśród gór, wolni i nieskrępowani, jak każdy zdrowy śmiertelnik, który już im teraz nie ma czem imponować, któremu już nie potrzebują zazdrościć. Wanda pije oczami góry, które widzi po raz pierwszy. Stefan chłonie wzrokiem Tatry, które ogląda raz ostatni.

Są tylko oni oboje i Tatry. A góry piętrzą się niebotyczną warownią i strzelają szpicami wierchów w niebo na wiwat życia, zdrowiu i potędze.

Jakiś głos, dochodzący z dołu, przerwał ich marzenia.

— Za chwilę będzie tu gwarno — mówi Stefan, patrząc w oczy Wandy: — turyści pną się na Świnicę.

Za chwilę otoczy ich gromada obcych, śmiejących się zdrowym śmiechem i sprofanuje to święte misterjum. Już nie będą sami z Tatrami, będą zmuszeni wysłuchiwać głupich okrzyków zachwytu, „fachowych“ taternickich rozmów, a wreszcie trzeba będzie powracać. Powracać? Do leżaków, proszków i termometrów. Do bezmyślnego werandowania i forsownego „odżywiania się“. Do prozy dni, pełnych słońca, a tak bezsłonecznych. Z obrazem ukochanych Tatr w duszy, z wspomnieniem najpiękniejszej chwili do tęsknoty i wzdychań nostalgicz-

nych w obliczu niedostępnych dla suchotników gór. A czy starczy sił na powrotną drogę?

— Czy pani ma chęć już wracać? — zapytał Stefan.

— Nie mam ani chęci, ani sił.

— Więc.

Długa chwila milczenia. A nieznośna myśl pracuje, pracuje. Z mgławicy chaosu wyłania się obojgu jądro jedynej prawdy: lepsza godzina zupełnego i prawdziwego życia, niż lata vegetacji.

Wanda odpowiada na myśl Stefana:

— Co to pan czytał niedawno u Nietzschego? „Jeszcze się ludzie nie nauczyli, jak się święci najpiękniejsze gody“.

Stefan spojrział odważnie w jej mądre ciemne oczy i, biorąc ją za rękę, zapytał:

— Wando, i miałabyś odwagę?

I stało się to jakoś tak dziwnie. Całował jej gorącą drobną rękę, całował jej rozpalone policzki i parzące wargi. Nie broniła mu ust, odpowiadała pieśczętą. Głosy ludzkie stawały się coraz bliższe.

Po chwili Stefan:

— Nie wrócimy do nizin i dołów, znalazłszy się już tak wysoko. Nie będziemy tam z założonemi rękami oczekiwali śmierci, która przyjść musi, korne barany na rzeź. Jesteśmy silni i mocni. Tatry obdarzyły nas potęgą. Słońce zapłodniło nas hartem. Więc nie śmierć przyjdzie do nas, lecz my do niej pędzimy. Nie wtedy, kiedy jej się podoba, ale kiedy my zechcemy. I nie tak, jak ona tego pragnie: na łóżku wśród męczącego kaszlu, ale wśród piargów i gładów. Umrzemy śmiercią najzdrowszych: nie na suchoty, ale na nieszczęśliwy wypadek w T a t r a c h.

Głosy ludzkie rozbrzmiewają już bardzo blisko. Odgłos czekańów, uderzających o kamienie.

Pocałowali się długo i mocno w usta, objawszy się rękami w pół, zsunęli się na sam brzeg przepaści. Jeszcze jedno wzajemne spojrzenie. Jeszcze jeden rzut oka na Tatry. Wojsko najeżonych zwartych olbrzymów. Białe chmurki na błękitnem niebie i rozpalona słoneczna kula.

— Ostrożnie, proszę państwa, w ten sposób o katastrofę nie trudno — rozległ się obcy głos za nimi, jak policzek po twarzy. Że też musiał ktoś tę ostatnie chwilę sprofanować!

Lekki ruch nogą. Przerażliwy okrzyk jakiegoś pana, rzucającego się za późno na pomoc. Cały świat do góry nogami. Lot w nieskończoność. Przerażliwy błyskawiczny ból i milion gwiazd w oczach, Niebo wali się na ziemię. Mrok.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

POECI I TATERNICY O GÓRACH

„Cóż to jest góry, ta dziwna potęga przywiązana do was? Owa tajemnica, która was uświęca najświętszymi chwilami życia ludzkości? Skąd to jest? Dlaczego to jest? Jakiegokolwiek są tego przyczyny, nie są one materialne; tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego nie mogą iść z przyczyn ważnych, materialnych... Tajemnica ta musi kryć się w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy...“ — „w tem, co podnosi was nad poziom ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś tchnień nieznanymi, niedocieczonymi w swej pierwszej przyczynie, potęgą jakichś wysiłen tajemniczych, jak natchnienia wielkiego ducha podnoszą człowieka w czynach wyższych nad poziom ludzkości. Może coś być w was, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka, niezależny, różny od wpływów fizycznych, a zatem silniejszy, bliższy i ściślejszy“.

„Schodźmy nadół, trzymając statecznie, cośmy wzięli na górze!“

(Seweryn Goszczyński: „Dziennik podróży do Tatrów“)

„Ktokolwiek miał do czynienia z naturą, a zachował w sobie zdolności odbierania szczyrych, bezpośrednich od niej wrażeń, które jedynie pozwalają odczuwać d u s z ę świata, osobowość zjawisk, ten zdoła sobie uprzytomnić stosunek, zachodzący między j a . ludzkim, a takimi potężnymi objawami przyrody, jak, przypuścimy, morze lub góry. Zdaje się, że nie tylko wrażenia wzrokowe, nie tylko kojarzenie się wyobrażeń, lecz jeszcze jakieś inne siły fizyczne, jakieś subtelne i nieznanne składniki natury i człowieka są czynnikami, dzięki którym wobec pewnych objawów przyrody doznaje się wrażeń, wpada się w stany psychiczne, które się nigdy w odmiennych warunkach nie powtarzają“.

(Stanisław Witkiewicz: „Na przełęczy“)

...„Są to wspomnienia niezamącone żadnym dysonansem, szereg przedziwnych zespołen z odwiecznym duchem gór, szereg hymnów w zachwycie odśpiewanych na cześć wszechistnienia.“

(Mieczysław Karłowicz: „Z wędrówek samotnych“)

„Aby być naprawdę taternikiem, trzeba przyrodę i piękno wogóle a Tatry w szczególności kochać; trzeba te Tatry znać i wreszcie obok zamiłowania do chodzenia po górach, trzeba mieć ku temu kwalifikacje.“ „Taternictwo nie siedzi w nogach, lecz w sercu.“

(Jan Gwałbert Pawlikowski)

„Wyjście na jakikolwiek szczyt jest jedną z największych radości, jaką możemy sobie sprawić. Walka ze szczytem raduje nas, podnieca nasz zapał, krzepi nasze nerwy, wzmacnia zęczość w pokonywaniu trudności, które nam nastręcza góra i daje nam uczucie odnoszenia zwycięstwa ducha nad materją. Cudowne to uczucie i wzniosłe w samym sobie jest wielkiem po-
krzepieniem ducha nawet wtedy, gdy nie zawsze odnosimy zwycięstwa.

Lecz nie jest to jeszcze wszystko. Walka z górą wzmacnia w nas coraz większą miłość do gór. Niekiedy zupełnie wyczerpani, chętnie schodzimy z gór w równiny. Lecz z coraz większą miłością wracamy w góry, gdyż one wynoszą nas nad poziom codziennego życia i pokazują nam wyniosłe, przeczyste i potężne piękno, którego byśmy bez walki z trudnościami górskimi nigdy nie zaznali.“

(Francis Younghusband)

„Przebogaty skarb uczuć i wrażeń, jaki zbiera się w sercu każdego taternika, wywołał już chyba u niejednego z nich westchnienie żalu, że nie jest poetą, by przeżycia swe zamknąć w jakimś rapsodzie czy sonecie. Aż dziw, że z całej plejady duchów, obdarzonych talentem poetyckim, nie znalazł się dotąd ani jeden, któryby sięgnął do tej nieprzebranej skarbnicy i stworzył rzecz arcy-piękną i — arcy-nową.“

(Marjan Sokołowski)

„Granit jest twórcyem mych poematów wysokogórskich. Dotknięcie jego nie da się z niczem porównać. Posiada moc i potęgę pioruna, zamkniętego w bryle szkła.“

(Wincenty Birkenmajer)

„Błogosławione niech będą morza, góry wysokie i wielkie pustynie, albowiem one są źródłem siły!“

(Marjusz Zaruski)

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

MARBA W WARSZAWIE. Z dwóch nadesłanych wierszy lepszy „Przebudzenie Warszawy fabrycznej“, (ładny dwuwiersz: „Warszawa się budzi głodem dzielnic fabrycznych, na lufach kominów wynosząc dzień — obok szeregu komunalów). Oba utwory nie nadają się jeszcze do „Kamenu“. Może później przyśle Pan coś bardziej wartościowego.

P. JÓZ. BOJ. W WALERJANÓWCE. Drukowanych już wierszy nie zamieszczamy wogóle. W nadesłanych utworach pomimo szlachetnych intencji nie możemy dopatrzeć się żadnych walorów artystycznych. Administracja prosi Pana o uregulowanie należności.

P. KAZ. PIOT. W ŁOMŻY. Z wierszy nie skorzystamy. Wysyłamy numer „Kamenu“, na który Pan załączył znaczki.

P. ST. W. Z LUBLINA. Wiersze nie dla nas, Ma Pan łatwość pisanja, która po zaznajomieniu się z dzisiejszemi wymaganiami poezji przy pewnej dyscyplinie może dać owocne rezultaty. Narazie tkwi Pan jeszcze we wczesnych młodopolskich nastrojach.

Celem uniknięcia kosztów i zwłoki powtórnej wysyłki w razie reklamacji nieotrzymanego numeru zechcą P. T. Prenumeratorzy wnosić ją wprost do swego odbiorczego urzędu pocztowego, a nie do administracji pisma

Redakcja i administracja „Kamenu“ w czasie lipca i sierpnia jest nieczynna.

Właściwie na ten „artykuł“ możnaby wcale nie odpowiadać („Dwie kultury“ № 79 z dn. 21 marca 1955). Trudno polemizować z ludźmi, których ideologia dawno już zbankrutowała, a którzy wciąż jeszcze próbują się odegrać, jadąc zawsze na tym samym „żydowskim“, „masonskim“ czy „komunistycznym“ koniku. Ale że w wymienionym elaboracie poza nieszkodliwym endeckim manjactwem występuje pewien bardzo niekulturalny i niemoralny passus, trzeba choć na tej ostatniej stronie okładki obnażyć istotne oblicze tych, którzy w sprawach kultury i moralności chcą rolę nauczycieli odgrywać.

Pomijamy wstęp „artykułu“, w którym autor rozplywa się nad uchwałą endeckiej większości łódzkiej Rady Miejskiej; mocą tej uchwały nagrodę literacką miasta Łodzi może otrzymać „wyłącznie Polak-chrześcijanin, mogący wykazać swoje pochodzenie polskie.“ Postanowienie to, naszym zdaniem, przynosi tylko ujmę polskiej kulturze. Wystarczy powiedzieć, że wobec tego nagrody m. Łodzi nie mógłby być otrzymać ani świetny krytyk „żyd“ Juljusz Klaczko, ani doskonały powieściopisarz Sadyk-pasza Czajkowski.

Nie obrażamy się również za przypięcie naszemu piśmu epitetu „komunizujące“, gdyż wyraz ten dla nas nie jest obelżywy, choć w stosunku do „Kameny“ niewłaściwie użyty. Dziwimy się tylko mentalności „Głosu Lubelskiego“, ubolewającego nad tem, że „Kamena“ jest „subsydyjowana“ (owszem, troszeczkę) przez Lubelski Związek Pracy Kulturalnej, który „nie ma prawa popierać kultury rozkładowej, literatury złej, zatruwającej ducha narodu.“

Doprawdy, nie wiedzieliśmy, że zakrojona przez nas na szeroką skalę akcja zbliżenia słowiańskiego, przejawiająca się w zamieszczeniu artykułów i licznych przekładów z poezji wszystkich narodów słowiańskich (nawet tak małych, jak Serbo-Łużyczanie) jest działalnością, „zatruwającą ducha narodu.“ Nie wiedzieliśmy również, że nasz zeszłoroczny numer mickiewiczowski, w którym oprócz literatów polskich współpracowali przedstawiciele Rosjan, Słowaków i Ukraińców, to objaw „kultury rozkładowej“. Może się „Głosowi Lubelskiemu“ nie podobać antyfaszystowskie nastawienie naszego pisma i jego sympatie dla wyzwolenczego ruchu proletariatu, ale zamykanie oczu na pewne odcinki naszej działalności i wysnuwanie fałszywych wniosków dla załatwienia swych porachunków partyjnych nie wydaje się nam rzeczą uczciwą.

Ale to wszystko nie jest jeszcze tak brzydkie, jak pewien prowokacyjny „szczegółik“. Autor „artykułu“ w jednym miejscu pisze: „Kamena“ jest oczywiście cenzurowana i cenzuralna“. „Oczywiście“, rozumiecie?

Przy końcu elaboratu czytamy: „Nie znamy literatów, wydających „Kamene“, znamy zato ich oblicze ideowe, wiemy, jaki dorobek wnoszą do ogólnego dorobku kulturalnego. Ta cała literatura „proletariacka“ pachnie zdaleka prądem ideowym, wylewającym się na Polskę z Nalewek“. Otóż, znany „Głosie Lubelski“ wydają „Kamene“ malarz Zenon Waśniewski i literat Kazimierz Andrzej Jaworski, obaj nieobrzezani aryjczy, ale do pisma naszego ma prawo wstępu każdy rzetelny talent bez względu na wyznanie polityczne i pochodzenie rasowe. I dlatego znajduje się tu miejsce zarówno dla „komunizującego“ Łobodowskiego, jak chrześcijańskiego S. Bąkowskiego i niearyjczyków Lewina czy Herta. Bo w tym wypadku nie będziemy jak łódzka Rada Miejska badali personaljów ani genitaljów literatów. I to jest zdaje się, ta kultura, której „Głos Lubelski“ nigdy się nie nauczy.

ERRATA

W obecnym numerze „Kameny“ zauważono następujące błędy drukarskie: w artykule T. Bocheńskiego na str. 147 w wierszu 9-ym od góry zamiast „zmieszanie tatrzańskości z poważnym, męskim tonem, zdrowym nawet w cierpieniu erotycznym“ powinno być: „zmieszanie tatrzańskości z poważnym, męskim, zdrowym, zdrowym nawet w cierpieniu erotyzmem“. Na str. 166 opuszczono nazwisko autorki wierszy z cyklu „Les montagnes Pyrenées“. Brzmi ono: Rosa Bailly.